

Amerykański wymiar mołdawskich patologii

9 listopada 2017

Niejako na marginesie amerykańskich śledztw w sprawie okoliczności wyboru Donalda Trumpa na prezydenta, mołdawska opinia publiczna mogła dowiedzieć się, że znienawidzony oligarcha Vlad (Vladimir) Plahotniuk i jego partia korzystali w USA z usług potężnej firmy lobbingowej Podesta Group.

Do końca października na jej czele stał Tony Podesta, rodzony brat Johna, szefa kampanii wyborczej Hillary Clinton. Jak podał portal Newsmaker.md, w ramach wartego 600 tys. dolarów kontraktu, trwającego rok – do czerwca 2017 r., lobbyści mieli dbać o poprawę stosunków mołdawsko-amerykańskich i organizować przedstawicielom kierowanej przez Plahotniuka Demokratycznej Partii Mołdawii (PDM) spotkania z odpowiednio wpływowymi figurami amerykańskiego Kongresu, a także przedstawicielami NGO-sów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie była to pierwsza taka umowa z lobbystami. Według autorów portalu dziennikarstwa śledczego Crimemoldova.org właśnie Podesta Group umożliwiło Plahotniukowi wyjazd do Waszyngtonu i spotkanie z szefową Biura ds. Europy i Eurazji w Departamencie Stanu Victorią Nuland. Miało ono miejsce 3 maja 2016 r. i zostało powszechnie odebrane jako sygnał poparcia USA dla rządu w Kiszyniowie, przeciwko któremu trwały właśnie społeczne protesty (organizowane, w zadziwiającej zgodzie, przez opozycję różnych odcieni).

Sam Plahotniuk chwalił się potem na swojej witrynie, że Nuland pochwaliła działania proeuropejskiej koalicji rządzącej Mołdawią i obiecała dalsze poparcie. Powiedzieć miała, że jeśli PDM i jej koalicyjni partnerzy będą wprowadzać reformy w kraju w dotychczasowym tempie, to mają gwarancje opieki ze strony USA. Amerykanie przymknęli w tym momencie oko zarówno na aferę wyprowadzenia z krajowego systemu bankowego miliarda

dolarów, jak i na skandaliczne okoliczności powołania na premiera Pavla Filipa – polityka-technokraty bez zaplecza, o którym wiadano powszechnie, że będzie posłusznym wykonawcą poleceń oligarchy Plahotniuka.

28 lipca „Demokraci” podpisali z Podesta Group kolejny kontrakt, na pół roku, na razie na kwotę 120 tys. dolarów (plus wydatki na podróże lobbystów), z opcją automatycznego przedłużenia o kolejne sześć miesięcy. Dodatkowo wynajęli również analogiczne usługi u innej firmy, równie rozpoznawalnej w USA Cornerstone Government Affairs. Za rok lobbingu w jej wykonaniu Plahotniuc wyłoży 360 tys. dolarów.

Jak widać oligarcha nie szczędzi funduszy na podnoszenie nadwątlonej reputacji swojej partii (w krajowych sondażach poparcie, w najlepszym razie, w ramach 5 proc.) i nieustannie dba o przekonywanie odpowiednich czynników, że warto ufać właśnie jemu. Innymi słowy: że najlepszym realizatorem amerykańskich interesów w tej części Europy (z uwagi na wojnę na Ukrainie) będzie właśnie on. I – ponownie tutaj jego krytycy, niezależnie od poglądów w innych kwestiach, nie mają wątpliwości – w imię zachowania swojej pozycji jest gotów nie tylko na wydawanie pieniędzy.

Co do tego, że Mołdawia nie ma wiele wspólnego z prawdziwą demokracją, a stała się państwem zawłaszczonym przez jednego oligarchę i jego dwór, analitycy i obserwatorzy raczej się zgadzają. Nowe skandale, które w ostatnim czasie wstrząsnęły najbiedniejszym krajem Europy, pokazują nie tylko skrajnie patologiczny charakter obecnej „elity rządzącej”, ale i to, że charakter ten nie przeszkodzi jej trwać jeszcze długo. Zorganizować poważnego oporu nie ma komu, za to protektorzy są, jak widać, poważni.

W ostatnim tygodniu pod adresem Plahotniuka padło oskarżenie jeszcze poważniejsze. Vitalie Proca, odsiadujący w Rumunii wyrok za próbę zabójstwa bankiera Giermana Gorbuncowa, oznajmił dziennikarzom Jurnal TV, że zleceniodawcą zamachu był

sam Plahotniuk. To on, przez swojego zaufanego Iona Drutę, miał polecić mu zaatakowanie Gorbuncowa przed jego domem w Londynie w marcu 2012 r. Według oficjalnej wersji mołdawskiej prokuratury, zamach zlecił mer Bielc i lider prorosyjskiej Naszej Partii Renato Usatii. Ten od początku zaprzeczał wszystkim zarzutom, ale przewidując, że jego słowo nie zda się na wiele, wyjechał do Rosji. Uniemożliwiło mu to start w ostatnich wyborach prezydenckich, w których miał szanse co najmniej na przyzwoity wynik.

Wydawałoby się, że rewelacje Proki, który w dalszej części wywiadu nazwał Plahotniuka seryjnym zabójcą – niezależnie od ich wiarygodności – staną się doskonałą bronią w rękach politycznych oponentów mołdawskich „Demokratów” i że w pierwszej kolejności zechce ją wykorzystać Partia Socjalistów Republiki Mołdawii oraz prezydent Igor Dodon.

Przypomnijmy, że pod koniec października głowa państwa została spektakularnie upokorzona przez Trybunał Konstytucyjny, od dawna opanowany przez nominatów Plahotniuka, wydający orzeczenia na jego zamówienie. Tym razem sąd odpowiadał na pytanie, czy prezydent może odrzucić drugą z rzędu kandydaturę ministra obrony, odmawiając zaprzysiężenia osoby wskazywanej przez premiera. Nie tylko stwierdził, że Dodon musi zgodzić się na rządowego nominata, ale i uznał, iż prezydent czasowo nie jest w stanie wykonywać swoich zadań. Zalecono powołanie pełniącego obowiązki prezydenta – dosłownie na jedną okazję, by Eugen Sturza mógł oficjalnie objąć stanowisko w rządzie. Tak się też stało.

Poniżenie Dodona w oczach opinii publicznej było tym większe, że prezydent przedstawiał zupełnie logiczne argumenty przeciwko Sturzy – nowy szef kluczowego resortu nie ma nawet trzydziestu lat, nic nie łączy go z armią, przez całą karierę zawodową był albo doradcą byłych już premierów Mołdawii, albo analitykiem NGO-sów, autorem opracowań i rekomendacji typu „Jak reformować Mołdawię”. Cała opozycja była zgodna: kandydat osobiście forsowany przez Plahotniuka to figurant, a

odsunięcie Dodona, by wprowadzić go do rządu, tworzy niebezpieczny precedens. Zabieg ten będzie powtarzany, ilekroć prezydent znowu będzie próbował sprzeciwić się DPM.

Co wtedy zrobił Dodon? Umieścił pełne świętego oburzenia oświadczenie w mediach społecznościowych, zapowiedział także, że kontynuowana będzie zbiórka podpisów pod projektem takiej zmiany konstytucji, by Mołdawia stała się republiką prezydencką. A jeszcze we wrześniu macierzyste ugrupowanie Dodona, Partia Socjalistów Republiki Mołdawii (PSRM), organizowała manifestacje poparcia dla prezydenta i zapowiadała, że będzie go bronić, wyprowadzając ludzi na ulice i dobitnie pokazując, że wyborcy są po jego stronie. Podczas tamtych pochodów frekwencja była niezła, po orzeczeniu Trybunału potencjał oburzenia w elektoracie socjalistów zdawał się jeszcze większy. Został jednak ekspresowo rozmyty – zbieranie podpisów pod projektem, który i tak zostanie odrzucony przez parlamentarną większość, zostało powszechnie odebrane przez zwolenników socjalistów jako ruch pozorowany.

Również w sprawie Proki Dodon ograniczył się do komentarza na Facebooku. Na swoim oficjalnym profilu stwierdził, że Mołdawianie mieli do czynienia z „telewizyjnym starciem z udziałem przestępców” i „publicznym wyrównywaniem rachunków” przez ludzi, którzy nie mają pojęcia o problemach prostych obywateli. A potem sprawnie przeszedł do przekonywania, że dopiero wygrana socjalistów w wyborach parlamentarnych zagwarantuje praworządność w kraju i przeprowadzenie obiektywnego śledztwa, które ustali, czy płatny zabójca mówił prawdę.

Nie ma wątpliwości, że obecna mołdawska prokuratura nie postawi nikomu zarzutów wbrew woli Plahotniuka i absolutnie nie można sobie wyobrazić, by zabrała się za tropienie ciemnych manewrów potężnego oligarchy. Ale i zachowanie prezydenta nie może nie budzić konsternacji. Po tym, gdy DPM dała mu do zrozumienia, gdzie jest jego miejsce w państwie, Dodon, jeśli naprawdę zależy mu na utrzymaniu jakiegokolwiek

pozycji, musi jakoś zmobilizować swój elektorat. Swoim obecnym postępowaniem uprawdopodobnia tylko wersję, wedle której jego spory z Plahotniukiem i DPM są pozorowane. Według Mihaia Popsoia, wiceprzewodniczącego PAS, „socjalistyczny” i „prorosyjski” prezydent utworzył z „proeuropejskim” i „demokratycznym” szefem DPM polityczny kartel, który ma zabetonować na stałe scenę polityczną i nie dopuścić alternatywnych ugrupowań – ani z lewej, ani z prawej strony, ani prawdziwych proeuropejczyków, ani szczerych rusofilów. Dokładnie takie same zarzuty formułuje pod adresem Dodona Renato Usatii, chociaż jego formacja mieści się dokładnie po odwrotnej stronie mołdawskiej skali niż PAS.

Socjaliści niechętnie odnoszą się do komentarzy Usatiiego pod adresem prezydenta. Kiedy we wrześniu poprosiłam o ustosunkowanie się do nich analityka PSRM Władimira Bukarskiego, ten oznajmił tylko, że Usatii nie jest godzien zaufania, bo uciekł z miasta, którym miał zarządzać, zostawiając na pastwę losu swoich wyborców. Mówienie o aliansie Dodona z Plahotniukiem socjaliści nazywają absurdalną teorią spiskową i podkreślają, jak wiele – w porównaniu z rządem rzecz jasna – osiągnął prezydent. Powtarzają, że to Dodon dogadał się z prezydentem Rosji w sprawie amnestii dla nielegalnie pracujących w tym kraju mołdawskich gastarbeiterów, doprowadził do zniesienia części sankcji dotyczących eksportu mołdawskich towarów na wschodnie rynki. Oczywiście, są to wydarzenia dla Mołdawii pozytywne. Tyle, że w dłuższej perspektywie kraj ten potrzebuje – bez żadnej przesady – antyoligarchicznej rewolucji. Wyborcy Dodona byli przekonani, że prezydent takową przynajmniej przybliży. A tak się nie dzieje.

Wobec potwierdzenia w Kongresie USA, że Plahotniuc ma nader możnych i wpływowych protektorów po drugiej stronie oceanu, nader zasadne staje się rozważanie, czy wahałby się, gdyby zasugerowano mu np. odmrożenie konfliktu z Naddniestrzem, czyli, mówiąc wprost, wszczęcie nowej wojny? We wrześniu

zastanawiano się nad tym w Mołdawii całkiem na serio. I traktowano ten scenariusz jako owszem, katastrofalny dla tak małego kraju, jakim jest Mołdawia, ale bynajmniej nie niemożliwy. Czy najgorsze jeszcze przed Kiszyniowem?

Autorstwo: Małgorzata Kulbaczevska-Figat

Źródło: Strajk.eu